

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



A. Czechow

OPOWIADANIA HUMORYSTYCZNE

Copyright by **Tower Press**

Wydawnictwo „Tower Press ”
Gdańsk 2001

Przedmowa

- *Czemu pieśni twoje tak krótkie?* – zapytano ptaka. – *Czy nie starczy ci oddechu?*
- *Mam bardzo wiele pieśni* – odparł ptak – *chciałbym je wszystkie przekazać światu.*

Tę alegorię, znaną z notatniku Czechowa, pozwalam sobie przytoczyć na wstępie do tych kilkunastu świeżo przetłumaczonych jego opowiadań.

Czechow należy nie tylko do wielkich, ale i do najbardziej kochanych pisarzy Rosji i świata. Ze wszystkich jego utworów przebija bowiem głęboka i serdeczna miłość do człowieka, gorący protest przeciwko krzywdzie i poniżeniu godności ludzkiej, lak charakterystyczny dla epoki, w której żył. A był to okres rozpanoszenia się reakcji, bezwzględnej dławienia wszelkich przejawów postępowej myśli: okres „czarnej solni”, pogromów Żydów. Wśród postępowej inteligencji rosyjskiej szerzył się głęboki pesymizm, brak wiary w możliwość wywalczenia lepszej przyszłości. Ruch robotniczy zaczynał się dopiero organizować i nie przedstawiał jeszcze w tym okresie decydującej siły politycznej, zdolnej do pociągnięcia za sobą postępowej inteligencji, zdolnej do wskazania jej drogi walki.

Pojawienie się wielkiego humorysty, umiającego śmieszyć i rozczulać do łez, to jakby rześki powiew świeżego powietrza w dusznej więziennej celi. Czechów był przedstawicielem tej lepszej części inteligencji końca wieku XIX, która rozumiała, że tak dalej żyć nie można. Nie był on rewolucjonistą, nie wyprzedzał swej epoki jak współczesny mu wielki Sałtykow Szczedrin. Na dramatyczne pytanie – „co robić” – Czechów nie umiał odpowiedzieć. Natura jego miękka i podatna na sugestie ulegała nastrojom społeczeństwa, odzwierciedlała jego załamanie po latach osiemdziesiątych i stopniowe wznoszenie się aż do rewolucji 1905 r., której Czechow już nie dożył.

Dzielo jego to olbrzymia mozaika z drobnych, najdrobniejszych kamyczków całego życia rosyjskiego w latach panowania Aleksandra III, wymowny i przekonujący akt oskarżenia. Piętnuje w nim ospałość, tępotę, służalczość aparatu państwowego, szarzyznę i martwość ówczesnego życia. W owe lata samo realistyczne postawienie problemów życia, pokazanie bezgranicznej tępoty carskiego aparatu państwowego działało rewolucyjnie, cierpienie małych i cichych bohaterów wzburzało i pobudzało do czynów. Los biednego sieroty Wani oddanego do terminu do złego majstra czy 12-letniej Warki, która będąc służącą przy dziecku, popada w obłęd z niewyspania – to obrazy budzące w czytelniku protest przeciwko porządkowi społecznemu, w którym dzieci cierpią tak bardzo.

„Wielkie dzieło tworzyście małymi opowiadankami, wzbudzając w ludziach wstręt do tego sennego, na wpół martwego życia – diabli by je wzięli!” – pisze do Czechowa Gorki w latach dziewięćdziesiątych.

W twórczości Czechowa jedną z najpoważniejszych twórczości zajmują drobne opowiadania.

– *Przywykłem do opowiadań* – mawiał Czechow – *składających się tylko z początku i końca.*

W tym anegdotycznym powiedzeniu mamy najlepiej wyrażony stosunek pisarza do formy. Rzeczywiście, w krótkich utworach mistrzostwo jego sztuki pisarskiej znalazło najdoskonalszy

wyraz. Mamy tu zarówno ostre utwory satyryczne, jak „Śmierć urzędnika”, „Gruby i chudy”, przysłowiowego w Rosji „Kaprała Priszibiejewa”, czy perelki rodzajowego humoru, jak „Miętus” lub „Na placu moskiewskim Trubnaja”, pełne niefrasobliwego humoru opowiadania „Końskie nazwisko”, „Bezbronna istota”, na koniec czarujący obrazek z życia dzieci „Chłopcy”.

Twórczość Czechowa najlepiej scharakteryzował Gorki: „Ze śmiercią Czechowa odejdzie jeden z najlepszych przyjaciół Rosji, przyjaciel mądry, sprawiedliwy, szczery, przyjaciel kochający, współczujący we wszystkim”. „I Rosja cała zadrży z żalu, i długo nie będzie go mogła zapomnieć, długo będzie się uczyć rozumieć życie podług jego pism, rozjaśnionych smutnym uśmiechem kochającego serca, według jego opowiadań przenikniętych głęboką znajomością życia, bezinteresowną miłością i współczuciem do ludzi, nie litością, lecz współczuciem mądrego i subtelного człowieka, który rozumiał wszystko”.

RADOŚĆ

Była godzina dwunasta w nocy.

Mitia Kułdarow, podniecony, z rozczochraną czupryną, wpadł do mieszkania swoich rodziców i szybko przebiegł wszystkie pokoje. Rodzice już kładli się spać. Siostra leżała w łóżku i kończyła ostatnią stronę powieści. Bracia gimnaziści spali.

– A ty skąd wracasz? – zdziwili się rodzice. – Co się z tobą dzieje?

– Och, nie pytajcie! Wcale się tego nie spodziewałem! Wcale się tego nie spodziewałem! To... wprost nie do wiary!

Mitia głośno się zaśmiał i upadł na fotel, gdyż ze szczęścia nie mógł utrzymać się na nogach.

– To po prostu jest niewiarogodne! Nawet nie możecie sobie wyobrazić! Popatrzcie tylko!

Siostra wyskoczyła z łóżka i narzuciwszy na siebie kołdrę zbliżyła się do brata. Obudzili się gimnaziści.

– Co ci jest? Poznać cię trudno!

– To z radości, mamu! Przecież cała Rosja mnie zna teraz! Cała! Dotychczas tylko wy wiedzieliście, że istnieje na tym świecie registrator kolegialny Dymitr Kułdarow, a teraz zna mnie cała Rosja! Mamusi! O, Boże!

Mitia zerwał się z fotela, przebiegł przez wszystkie pokoje i znowu usiadł.

– Ale co się stało? Mów! Opowiadaj wyraźnie!

– Żyjecie jak dzikie zwierzęta, gazet nie czytujecie, nie zwracacie żadnej uwagi na najświeższe wiadomości, podczas gdy w nich jest tyle ciekawych rzeczy! Jeżeli coś się wydarzy, natychmiast wszystko wiadomo, nic się nie ukryje! Jakiż ja jestem szczęśliwy! O Boże! Przecież gazety drukują tylko o ludziach sławnych, a tu tymczasem o mnie napisali!

– Co ty mówisz? Gdzie?

Ojciec zbladł. Matka spojrzała na święty obraz i przeżegnała się. Gimnaziści zerwali się z łóżek i tak jak stali, tylko w krótkich nocnych koszulkach, zbliżyli się do starszego brata.

– Tak jest! O mnie napisali! Teraz wie o mnie cała Rosja! Mamusi, proszę schować ten numer gazety na pamiętkę! Można będzie od czasu do czasu przeczytać. Patrzcie!

Mitia wyciągnął z kieszeni gazetę, podał ojcu i wskazał palcem ustęp zakreślony niebieskim ołówkiem.

– Proszę przeczytać! Ojciec włożył okulary.

– Niechże ojciec czyta!

Matka spojrzała na obraz i przeżegnała się. Ojciec odchrząknął i zaczął czytać:

„29 grudnia, o jedenastej wieczorem, registrator kolegialny Dymitr Kułdarow...”

– Widzicie, widzicie? Dalej!

„...registrator kolegialny Dymitr Kułdarow, wychodząc z szynku przy ulicy Małej Bronnej i będąc w stanie nietrzeźwym...”

– To ja z Sjemionem Pietrowiczem... Opisane ze wszystkimi szczegółami! Niechże ojciec czyta dalej! Słuchajcie!...

„... i będąc w stanie nietrzeźwym pośliznął się i wpadł pod konia stojącej tu dorożki,

należącej do mieszkańca wsi Dyrkino, juchnowskiego powiatu, Iwana Drotowa. Spłoszony koń przestąpiwszy przez Kułdarowa i przejechawszy przez niego saniami, w których znajdował się kupiec moskiewski drugiej gildii Stefan Łukow, zaczął ponosić wzdłuż ulicy i został zatrzymany przez dozorców domowych. Kułdarow, będąc początkowo w stanie omdlenia, został odprowadzony do komendy policji i zbadany przez lekarza. Uderzenie, jakie otrzymał w potylicę..."

– Uderzyłem się o hołoblę, ojczulku. Dalej! Proszę czytać dalej!

„...jakie otrzymał w potylicę, zostało uznane za obrażenie lekkie. Spisano protokół. Poszkodowanemu udzielono pomocy lekarskiej...”

– Kazano mi kłaść zimne okłady! Czytał ojculek? Co? Otóż to właśnie! Teraz ta wiadomość już rozeszła się po całej Rosji! Proszę dać mi gazetę!

Mitia chwycił gazetę, złożył ją i wsunął do kieszeni.

– Pobiegnę do Makarowych, im też pokażę... Trzeba jeszcze pokazać Iwanickim, Natalii Iwanownie, Anisimowi Wasiljiczowi.. No, pędzę! Bądźcie zdrowi!

Mitia włożył na głowę czapkę z bączkiem i tryumfujący, uszczęśliwiony, wybiegł na ulicę.

1883

ŚMIERĆ URZĘDNIKA

Pewnego pięknego wieczoru niemniej piękny egzekutor Iwan Dmitrycz Czerwiakow siedział w drugim rzędzie parteru i przyglądał się przez lornetkę scenie z „Dzwonów kornewilskich”. Patrzył i czuł się u szczytu szczęścia. Gdy wtem... W opowiadaniach często spotyka się to „gdy wtem”. Autorzy mają rację; życie tak pełne jest niespodzianek! A więc wtem twarz jego wykrzywiła się, oczy uciekły pod powieki, zabrakło mu tchu... odjął od oczu lornetkę, pochylił się i... apsik!!! Kichnął, jak państwo widzą. Kichać wolno każdemu. Kichają chłopci i policmajstrzy, a niekiedy nawet radcy tajni. Wszyscy kichają, Czerwiakow bynajmniej tym się nie zmieszał, wytarł nos chusteczką i, jak przystało na uprzejmego człowieka, rozejrzał się wokoło, czy przypadkiem swoim kichnięciem nie zakłócił komu spokoju. I tu właśnie czekała go kontuzja, spostrzegł bowiem, że siedzący przed nim w pierwszym rzędzie staruszek, starannie wycierając rękawiczką łysinę i kark, coś do siebie mruczał. W staruszkę tym Czerwiakow poznał radcę stanu z departamentu komunikacji, generała Brizżałowa.

„Opryskałem go! – pomyślał Czerwiakow. – Nie mój zwierzchnik, z innego urzędu, lecz bądź co bądź nieprzyjemnie. Trzeba przeprosić”.

Czerwiakow odchrząknął, pochylił się naprzód i szepnął generałowi do ucha:

- Ekscelencja raczy mi wybaczyć, opryskałem ekscelencję... niechcący...
- Nie szkodzi, nie szkodzi...
- Na miłość boską, proszę mi wybaczyć! Ja przecież... nie chciałem!
- Ależ, niech pan siedzi spokojnie! I pozwoli mi słuchać!

Czerwiakow zmieszał się, głupio się uśmiechnął i zaczął patrzeć na scenę. Patrzył, ale uczucie błogości już minęło. Zaczął go dręczyć niepokój. W czasie antraktu podszedł do Brizżałowa, pokręcił się koło niego i, pokonawszy nieśmiałość, wykrztusił:

– Ekscelencjo, ja opryskałem waszą ekscelencję... Proszę mi wybaczyć... Ja przecież... nie, żeby...

– Ach, bagatelka... Już nawet zapomniałem, a pan wciąż o tym... – powiedział generał i ze zniecierpliwieniem skrzywił dolną wargę.

„Zapomniał, a patrzy zjadliwie – pomyślał Czerwiakow, z niedowierzaniem spoglądając na generała. – I nawet mówić nie chce. Trzeba by było mu wytłumaczyć, że ja wcale nie chciałem... że to prawo natury, bo gotów pomyśleć, że chciałem napluć na niego. Jeżeli nawet teraz nie pomyśli, to pomyśli później...!”

Wróciwszy do domu, Czerwiakow opowiedział swej żonie o tym nieprzyjemnym wypadku. Żona, jak mu się wydało, zlekceważyła ten wypadek; na razie też się zlekła, ale później, gdy się dowiedziała, że Brizżałow jest w innym urzędzie, uspokoiła się.

– Może jednak pójdziesz do niego i przeprosisz – powiedziała. – Gotów pomyśleć, że nie umiesz zachować się w miejscu publicznym.

– O to właśnie chodzi! Już go przepraszałem, ale on jakoś tak dziwnie... Jednego słowa jak się należy nie powiedział. Zresztą nie było nawet czasu na rozmowę.

Następnego dnia Czerwiakow włożył nowy mundur, ostrzygł się i poszedł do Brizżałowa,

żeby wytłumaczyć się. Gdy wszedł do sali przyjęć, ujrzał mnóstwo interesantów, a wśród nich i samego generała, który już zaczął załatwiać sprawy. Wysłuchawszy kilku petentów, podniósł wzrok na Czerwiakowa.

– Wczoraj w „Arkadii”, jeśli ekscelencja raczy sobie przypomnieć – rozpoczął egzekutor – kichnąłem i... niechcący opryskałem... Prze...

– Co za głupstwa pan plecie! A pan czego sobie życzy? – generał zwrócił się do następnego petenta.

„Nawet rozmawiać nie chce! – błędnie pomyślał Czerwiakow. – To znaczy, że się gniewa... Nie, tego tak zostawić nie można—Muszę mu wyjaśnić...”

Gdy generał skończył rozmowę z ostatnim petentem i skierował się do dalszych apartamentów, Czerwiakow zrobił za nim parę kroków i zaczął bełkotać:

– Ekscelencjo! Jeżeli ośmielam się zakłócić spokój ekscelencji, to jedynie z poczucia, że tak powiem, swej winy... Nienaumyślnie, sam pan raczy wiedzieć...!

Generał skrzywił twarz jakby do płaczu i machnął ręką.

– Ależ pan po prostu kpi sobie ze mnie, szanowny panie – powiedział znikając za drzwiami.

„Gdzież tu kpiny? – pomyślał Czerwiakow. – Nie ma tu żadnych kpin! Generał, a nie może tego zrozumieć! Jeśli tak, to nie będę więcej przeproszać tego pyszałka. Niech go diabli porwą! Napiszę do niego list, ale przychodzić więcej nie będę. Jak Boga kocham, nie będę!”

Tak rozmyślał Czerwiakow w drodze do domu. Listu jednak do generała nie napisał. Myślał i myślał, lecz w żaden sposób tego listu nie mógł wymyślić. Musiał następnego dnia sam iść z wyjaśnieniem.

– Wczoraj już przychodziłem niepokoić waszą ekscelencję – wybełkotał, gdy generał ze zdziwieniem na niego podniósł oczy – nie po to, żeby kpić, jak to ekscelencja raczyła powiedzieć. Chciałem przeprosić ekscelencję za to, że kichając opryskałem... ale żartować nie myślałem. Gdzieżbym ośmielił się żartować? Jeżeli będziemy żartowali, to wówczas, znaczy się, żadnego szacunku dla samej osoby nie będzie...

– Wynoś się stąd! – raptem wrzasnął, aż siny i trzęsący się z gniewu, generał.

– Co proszę? – Czerwiakow spytał szeptem, omdlewając z przerażenia.

– Wynoś się stąd! – powiedział generał i zatupał nogami.

W Czerwiakowie coś się załamało. Nic nie widząc i nie słysząc Czerwiakow zaczął cofać się tyłem do drzwi, wyszedł na ulicę i, zataczając się, powlókł się do domu... Wszedł do mieszkania, nie zdejmując munduru położył się na kanapie i... umarł.

TLUSTY I CHUDY

Na dworcu Mikołajewskim spotkali się dwaj przyjaciele: jeden był tusty, drugi – chudy. Grubas przed chwilą zjadł obiad na dworcu; jego lśniące, jakby posmarowane tłuszczem wargi czerwieniły się jak dojrzałe wiśnie. Dokoła niego rozchodził się zapach wina i fleur d'orange'u. Chudy właśnie wyszedł z wagonu obładowany walizkami, pakunkami i zawiniątkami. Prześiąknięty był zapachem jakiejś wędliny i fusami kawy. Spoza jego ramienia wyglądała szczupłutka kobiecinka ze szpiczastym podbródkiem – jego żona. Pochód zamykał wysoki gimnazysta z przymrużonym okiem – ich syn.

– Porfiry! – krzyknął grubas ujrawszy chudego. – Czy to ty? Kochany mój! Kopę lat, kopę lat!

– Mój Boże! – zdumiał się chudy. – Misza! Przyjacielu lat dziecinnych! Skądś się tu wziął?

Objęli się i trzykrotnie ucałowali, spoglądając na siebie oczyma pełnymi łez. Obaj byli przyjemnie oszołomieni.

– Mój drogi! – zaczął chudy po pocałunkach. – Nie spodziewałem się tego! A to ci niespodzianka! No, popatrz na mnie! Tak samo przystojny, jak był. Taki miły i elegancki! Ach, mój Boże! No, jak ci się powodzi? Jesteś bogaty? Żonaty? Bo ja, jak widzisz, jestem już żonaty... To jest moja żona, Luiza, z domu Wancenbach... luteranka... A to mój syn, Nafanail, uczeń trzeciej klasy. To, Nafanailku, mój przyjaciel z lat dziecinnych! Razem uczyliśmy się w gimnazjum! Nafanail pomyślał chwilę i zdjął czapkę.

– Razem uczyliśmy się w gimnazjum! – ciągnął chudy. – Pamiętasz, jak cię nazywali? Nazywali cię Herostratesem, ¹ dlatego że wypaliłeś papierosem dziurę w książce, która była własnością szkoły, mnie zaś – Efiatem, ² gdyż byłem skarżypytą. Ho, ho... Dzieci byliśmy! Nie bój się, Nafaniu. Podejdź do niego bliżej... A to jest moja żona, z domu Wancenbach... luteranka...

Natan chwilę myślał i schował się za ojca.

– No, a co u ciebie słyhać? – spytał tusty patrząc z radością na chudego. – Pracujesz gdzieś? Dochrapałeś się czego?

– Pracuję, mój kochany! Jestem asesorem kolegialnym od dwóch lat i nawet dostałem order Stanisława. Pensja licha... ale Bóg tam z nią! Żona daje lekcje muzyki, ja zaś, prywatnie oczywiście, robię drewniane papierośnice! Doskonałe papierośnice! Sztukę sprzedaję po rublu! Jeżeli ktoś bierze dziesięć sztuk lub więcej, to, ma się rozumieć, dostaje rabat. W ten sposób jakoś sobie dajemy radę. Pracowałem w departamencie, a teraz zostałem naczelnikiem kancelarii w tym samym ministerstwie... Będę teraz tutaj pracował. No, a ty? Pewnie już jesteś radcą stanu? Co?

– Nie, mój kochany, celuj wyżej – powiedział gruby. – Dosłużyłem się stopnia tajnego radcy... Mam dwie gwiazdki.

¹ Herostrates – grecki szewc, który dla zdobycia sławy spalił słynną świątynię Diany efeskiej w 356 roku p.n.e.

² Efiates – grecki zdrajca, który ułatwił Persom zdobycie Termopil bronionych przez Spartan w 480 roku p.n.e.

Chudy nagle zbladł, znieruchomiał, ale po chwili twarz jego wykrzywił szeroki uśmiech; zdawało się, że z jego twarzy i oczu posypały się iskry. Skurczył się, zgarbił, stał się jeszcze cieńszy... Jego walizy, tłumoczki i kartonowe pudła skurczyły się i zmały... Wydłużony podbródek jego żony wydłużył się jeszcze bardziej; Nafan stanął na baczność i zapiał mundurek na wszystkie guziki...

– Wasza ekscelencjo... bardzo mi miło! Przyjaciół lat dziecińczych, a teraz dygnitarz...! Hi – hi – hi!

– Dajżeż spokój – skrzywił się gruby. – Po co ten ton? Od dzieciństwa jesteśmy przyjaciółmi, więc po co ta urzędowa czołobitność.

– Wasza wielmożność, proszę wybaczyć... Jakżeż ma być inaczej – zachichotał chudy i skurczył się jeszcze bardziej. – Łaska waszej wielmożności... to jakby ożywczy deszczyk... A oto, mój syn, Nafan... a to moja żona Luiza, luteranka... do pewnego stopnia...

Tłusty w pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale na twarzy chudego malował się tak głęboki szacunek, tyle słodczy i wzbudzającego mdłości uszanowania, że tajny radca poczuł niesmak i odwrócił się podając chudemu rękę na pożegnanie.

Chudy uściśnął mu trzy palce, zgiął się we dwoje w ukłonie i zachichotał jak Chińczyk: „Hi– hi —hi”. Żona uśmiechnęła się. Nafan szurgnął nogą i upuścił czapkę. Cała trójka była przyjemnie oszołomiona.

1883

NA MOSKIEWSKIM PLACU „TRUBNAJA”

Niewielki plac w pobliżu klasztoru pod wezwaniem Narodzenia Pańskiego nosi nazwę Trubnaja lub po prostu Truba; w niedzielę odbywa się na nim targ. Snują się po nim, jak raki w przetaku, setki kozuchów, bekiesz, futrzanych czap, cylindrów. Słychać śpiew różnych ptaków, co przypomina wiosnę. Kiedy świeci słońce i na niebie nie ma chmur, to śpiew ptaków i zapach siana odczuwa się o wiele mocniej, wspomnienia o wiosnie pobudzają myśli, unosząc je daleko, daleko.

Po jednej stronie placu ustawiono rzędami wozy. Na wozach nie ma ani siana, ani kapusty, ani bobu, są natomiast szczygły, czyżyki, żurawie, skowronki, kosy, szare drozdy, sikorki i gile. Całe to ptactwo skacze w nieudolnie skleconych własnego wyrobu klatkach i, szczebiocząc, z zazdrością spogląda na wróble znajdujące się na wolności. Szczygły kosztują pięć kopiejek, czyżyki są droższe, na pozostałe zaś ptaki nie ma określonej ceny.

– Ile kosztuje skowronek?

Sprzedawca sam nie wie, jakiej ceny zażądać za skowronka. Drapie się za uchem i podaje taką cenę, jaka mu przyjdzie do głowy. Albo rubel, albo trzy kopiejki, w zależności od kupującego. Ale są i ptaki bardzo kosztowne. Na zabrudzonym drążku siedzi wyleniały staruszek–drozd z wyskubanym ogonem. Wygląda solidnie, poważnie i siedzi nieruchomo niby zdymisjonowany generał. Dawno już machnął łapką na swą niewolę i patrzy już obojętnie na błękitne niebo. Widocznie z powodu tej swojej obojętności jest uważany za ptaka rozsądnego. Nie kupi się go taniej niż za czterdzieści kopiejek. Koło ptaków, grzęznąc w błocie, tłoczą się uczniowie gimnazjalni, rzemieślnicy, młodzi panowie w modnych płaszczach, miłośnicy ptaków w mocno zniszczonych czapkach, w podwiniętych, obstrzępionych, jakby przez myszy pociętych spodniach. Młodzikom i rzemieślnikom handlarze sprzedają samczki zamiast samców, młode zamiast starych... Nie bardzo znają się oni na ptakach. Ale prawdziwego amatora nikt nie oszuka. Ci z daleka dobrze oceniają ptaki.

– Nie mam zaufania do tego ptaka – mówi znawca zaglądając czyżykowi w dziób i licząc piórka w jego ogonie. – Teraz śpiewa, to prawda, ale co z tego? Ja również w towarzystwie zaśpiewam. Nie, bratku, ty mi bez towarzystwa zaśpiewaj, zaśpiewaj sam jeden, jeżeli potrafisz... Podaj mi tego tam, co siedzi i milczy! Milczka podaj! Milczy, widać, że coś sobie myśli...

Między wozami z ptakami trafiają się wozy z innymi stworzeniami. Można zobaczyć tu zające, króliki, jeże, świnki morskie, tchórze. Siedzi zajac, rozpaczliwie żując słomę. Świnki morskie dygocą z zimna, jeże zaś z zaciekawieniem przyglądają się publiczności spod swoich igielek.

– Wyczytałem gdzieś – mówi urzędnik ministerstwa poczt, w wypłowiałym płaszczu/ nie zwracając się specjalnie do nikogo i z zachwytem patrząc na zajaca – wyczytałem, że u pewnego uczonego kot, mysz, kobuz³ i wróbel jadły z jednej miski.

– To bardzo możliwe, proszę pana. Widać, że kot był bity, a kobuz cały ogon ma

³ kobuz – gatunek jastrzębia.

wyskubany. Żadnej uczoności tu nie ma, wielmożny panie. Mój kum miał kota, który, z przeproszeniem, jadł ogórki. Kum dwa tygodnie młócił go biczyskiem, dopóki go nauczył. Zając, jeśli go się będzie bić, potrafi nawet zapalać zapalki. Niech pan się nie dziwi. To zwykła rzecz! Weźmie w pysk zapalkę i – pstryk! Stworzenie potrafi robić to samo, co człowiek. Człowiek, gdy go się bije, staje się mądrzejszy, tak samo stworzenie.

W tłumie kręcą się przekupnie z kogutami i kaczkami pod pachą. Wszystkie te ptaki są chude i głodne. Kurczęta wysuwają z klatek swe brzydkie, niewypierzone łebki i coś dziobią w błocie. Chłopcy–gołębiarze zaglądają człowiekowi w oczy i usiłują odgadnąć w nim amatora gołębi.

– Taak! Niesposób panu wytłumaczyć! – krzyczy ktoś ze złością. – Proszę najpierw się przyjrzeć, a potem mówić! Czy to jest gołąb? To jest orzeł, a nie gołąb!

Wysoki, szczupły mężczyzna z bokobrodami i z ogolonymi wąsami, chory i pijany, sądząc z powierzchowności – lokaj, sprzedaje białego jak śnieg bolończyka. Stary bolończyk skomli.

– Kazała mi sprzedać to świństwo – mówi lokaj uśmiechając się pogardliwie. – Zbankrutowała na starość, nie ma co jeść, więc teraz psy i koty sprzedaje. Płacze, całuje w obrzydliwe pyski i z nędzy sprzedaje. Święta prawda! Proszę państwa, proszę kupić! Pieniądze są potrzebne na kawę.

Ale nikt się nie śmieje. Obok stoi chłopak i, przymrużywszy jedno oko, patrzy na niego poważnie, ze współczuciem.

Najciekawszy jest bazar z rybami. Około dziesięciu chłopów siedzi rzędem. Przed każdym wiadro, a w wiadrach malutkie, miniaturowe piekło. Tam w zielonkawej, mętnej wodzie poruszają się małe karasie, piskorze, płotki, muszelki, żaby, trytony. Duże rzeczne żuki z połamanymi nogami śmigają po malutkiej powierzchni, włączając na karasie i przeskakując przez żaby. Żaby włączają na żuki, trytony – na żaby. Żywotne stworzenia! Ciemnozielonkawe liny, jako droższe ryby, mają lepsze warunki: trzymane są w osobnych słojach, w których, choć nie mogą pływać, mimo to nie jest tak ciasno...

– Pyszna ryba ten karaś! Hodowany karaś, wielmożny panie, żebym tak zdrow był! Cały rok można go trzymać w kubelku i żyje. Tydzień będzie, jak nałapałem tych ryb. Nałowiłem ich, proszę szanownego pana, w Przerwie i przyszedłem stamtąd pieszo. Karasie po dwie kopiejki, piskorze po trzy, a płotki dziesiątka za dziesiątek, bodajby zdechły. Pozwoli pan płotek za piątkę? Może każe pan dać kilka robaków?

Przekupień wkłada do wiadra swe grube, szorstkie palce i wyjmuje z niego delikatną płoteczkę lub karasika wielkości paznokcia. Obok wiadra leżą porozkładane linki do wędek, haczyki i mieniące się w słońcu czerwonym światłem robaki.

Miedzy wozami z ptakami i wiadrami z rybami chodzi staruszek–amator w futrzanej czapie, w okularach w metalowej oprawie i w kaloszach podobnych do dwóch pancerników. Jest to, jak go tu nazywają, „typek”. Nie ma przy sobie ani kopiejki, ale nie zważając na to, targuje się, denerwuje, wtrąca do kupujących swoje trzy grosze. Mniej więcej w ciągu godziny zdążył już obejrzeć wszystkie zające, gołębie, ryby – obejrzeć dokładnie i ogłosić wszem wobec gatunek, wiek oraz cenę każdego stworzenia. Interesuje się jak dziecko młodymi szczygiełkami, karasikami i płotkami. Porozmawiajcie z nim na przykład o drozdach, a ten dziwak opowie wam to, czego nie znajdziecie w żadnej książce. Będzie opowiadał z zachwytem, namiętnie, jeszcze zgani was za nieuctwo. O szczyglach i gilach gotów jest mówić bez końca, wytrzeszczając oczy i gwałtownie wymachując rękami. Można go spotkać na tym placu tylko zimą, gdyż latem gdzieś za Moskwą wabi przepiórki i na wędkę łowi ryby.

A oto drugi „typek” – bardzo wysoki, bardzo chudy pan w ciemnych okularach, ogolony, w kaszkiecie z bączkiem podobny do poddiaczka⁴ z dawnych czasów. To znawca: ma nie

⁴ poddiaczek – prawosławny kleryk.

byle jakie stanowisko, jest nauczycielem gimnazjalnym i o tym wiedzą wszyscy stali bywalcy Truby, odnoszą się do niego z szacunkiem, kłaniają mu się i nawet wymyślili dla niego specjalne przezwisko: „Zaimek”. Koło magazynu Sucharewa Zaimek grzebie w książkach, natomiast na Trubie szuka rasowych gołębi.

– Pan będzie łaskaw! – krzyczą do niego gołębiarze. – Szanowny panie Zaimek, proszę zwrócić uwagę na turmany, panie Zaimek!

– Panie Zaimek! – krzyczą do niego z różnych stron.

– Panie Zaimek – gdzieś na bulwarze powtarza andrus.

A Zaimek widocznie od dawna już przyzwyczaił się do swego przezwiska i, poważny, surowy, bierze w obydwie ręce gołębia i uniósłszy go nad głowę, zaczyna go oglądać i nasępia się jeszcze bardziej, staje się poważny niczym spiskowiec.

Truba, ten niewielki kawałeczek Moskwy, gdzie tak czule kochają stworzenia i gdzie je tak męczą, żyje swym mizerniutkim życiem, gwarna i rozfalowana, a ludzie, zajęci swymi sprawami lub w drodze do cerkwi na nabożeństwo, ludzie, którzy przechodzą obok idąc po bulwarach, nie rozumieją, po co zebrał się ten tłum, ta pstra mieszanina kapeluszy, czapek i cylindrów, o czym tu rozmawiają, czym handlują. 1883

EGZAMIN NA WYŻSZE STANOWISKO

Galkin, nauczyciel geografii, wziął się na mnie i zobaczycie, że dziś nie zdam u niego egzaminu – mówił, nerwowo zacierając potniejące ręce, ekspedytor Oddziału Poczтового Jefim Zacharycz Fendrikow, siwy brodaty mężczyzna, z dużą, wzbudzącą szacunek łysiną i solidnym brzuchem. Nie zdam... Jak Bóg na niebie... A rozgniewał się na mnie z powodu bagatelki. Pewnego razu przychodzi do mnie z listem poleconym i przeciska się przez tłum interesantów, żebym ja, rozumiecie, przyjął jego list najpierw, a potem dopiero listy pozostałych. Tak nie powinno być... Należy on wprowadzić do ludzi wykształconych, ale mimo wszystko powinien przestrzegać porządku i poczekać. Zrobiłem mu grzeczną uwagę. „Łaskawy panie, proszę stanąć w kolejce” – mówię do niego, on zaś poczerwieniał i odtąd zawziął się na mnie niczym Saul.⁵ Synkowi memu Jegoruszce pałki stawia, o mnie zaś różne brednie rozpowiada po mieście. Pewnego razu przechodzę obok traktierni Kuchtina, a on wychyla się przez okno z kijem bilardowym i krzyczy po pijanemu na cały plac: „Proszę państwa, proszę spojrzeć: oto idzie wycofany z obiegu stary znaczek pocztowy”.

Nauczyciel języka rosyjskiego Piwomiodow, który stał w korytarzu X Powiatowej Szkoły wraz z Fendrikowem i raczył łaskawie zapalić jego papierosa, wzruszył ramionami i powiedział uspokajająco:

– Niech się pan nie denerwuje. Nigdy nie mieliśmy wypadku, żeby takich, jak pan ścinano na egzaminie. To tylko pro forma.

Fendrikow uspokoił się, ale nie na długo. Przez korytarz przeszedł Galkin, młody mężczyzna, z rzadziutką, jakby wyskubaną bródką, w spodniach z płótna żaglowego, w nowym, granatowym fraku. Spojrzał na Fendrikowa surowym wzrokiem i poszedł dalej.

Potem rozeszła się wiadomość, że przyjedzie inspektor. Fendrikow zdrętwiał i czekał już z takim strachem w sercu, jaki jest znany tylko podsądnym i przystępującym po raz pierwszy do egzaminu. Przez korytarz biegł na ulicę etatowy pedel Powiatowej Szkoły Chamow. Za nim, na spotkanie inspektora, podążał katecheta Zmijeżałow, w sutannie, z krzyżem na piersi, i inni. Inspektor szkół ludowych Achachow przywitał się głośno, wyraził swe niezadowolenie z powodu nadmiernego kurzu i wszedł do gmachu szkoły. Po pięciu minutach egzaminy rozpoczęły się.

Przeegzaminowano dwóch popowiczów, którzy kandydowali na nauczycieli wiejskich. Jeden zdał, drugi się obciął. Ten, który ściał się na egzaminie, wytarł nos w czerwoną chusteczkę, postął chwilę, pomyślał i wyszedł. Przeegzaminowano dwóch wolontariuszów trzeciego stopnia. Wreszcie przyszła kolej na Fendrikowa.

– Gdzie pan pracuje? – zwrócił się do niego inspektor.

– Pracuję jako ekspedytor w miejscowej filii pocztowej, wielmożny panie – odpowiedział Fendrikow stając na baczność i usiłując ukryć przed publicznością drżenie rąk. – Pracuję od dwudziestu jeden lat, wielmożny panie, a obecnie zażądano ode mnie świadectwa w związku z postawieniem mojej kandydatury na stanowisko registratora kolegiального, wobec tego

⁵ Saul – władca żydowski, zawzięty przeciwnik późniejszego króla Dawida.

ośmielałam się poddać przeegzaminowaniu, by otrzymać stanowisko pierwszej kategorii.

– Taak... Proszę napisać dyktando.

Piwomiodow podniósł się z krzeselka, odchrząknął i zaczął dyktować niskim, przenikliwym basem, usiłując przyłapać egzaminowanego na wyrazach, które pisze się inaczej, niż się wymawia: „doskonała jest zimna woda, gdy człowiek ma pragnienie” itd...

Ale mimo podstępów Piwomiodowa dyktando się udało. Przyszły registrator kolegialny błędów zrobił niewiele, choć więcej zwracał uwagi na kaligrafię niż na ortografię. W wyrazie „nadzwyczajnie” napisał dwa „n”, wyraz „lepiej” napisał „lebiej”, słowami zaś „nowe stanowisko” wywołał na twarzy inspektora uśmiech, gdyż napisał „nowe satanowisko”, ale to nie były zbyt wielkie błędy.

– Z dyktanda dostatecznie – powiedział inspektor.

– Ośmielałam się podać do wiadomości wielmożnego pana – powiedział zachęcony Fendrikow spoglądając z ukosa na swego wroga Gałkina – ośmielałam się zameldować, że geometrii uczyłem się z podręcznika Dawydowa, poza tym uczyłem się jej u mego siostrzeńca Warsonofiego, który przyjeżdżał na wakacje z Troicko–Sjergiejewskiego, a także Wifańskiego Seminarium. I planimetrii się uczyłem, i stereometrii... wszystkiego, co jest...

– Stereometrii według programu nie należało się uczyć.

– Nie należało? A ja cały miesiąc nad nią prześlęczałem... Co za szkoda! – westchnął Fendrikow.

– Na razie nie będziemy mówili o geometrii. Przystąpimy do nauki, którą pan, jako urzędnik pocztowy, prawdopodobnie lubi. Geografia jest nauką pocztowców.

Wszyscy nauczyciele uśmiechnęli się z szacunkiem. Fendrikow nie zgadzał się z tym, że geografia jest nauką pocztowców (nigdzie o tym nie napisano: ani w przepisach pocztowych, ani w zarządzeniach wydawanych dla okręgu), ale powiedział z szacunkiem: „Tak jest”. Odchrząknął nerwowo i z przerażeniem oczekiwał pytań. Jego wróg, Gałkin, przechylił się do tyłu w krześle i nie patrząc na niego spytał przeciągle:

– E... proszę mi powiedzieć, jaki jest ustrój w Turcji?

– Wiadomo jaki... turecki...

– Hm!... turecki... Pojęcie bardzo rozległe. Turcja ma ustrój konstytucyjny. A jakie pan zna dopływy Gangesu?

– Uczyłem się geografii z podręcznika Smirnowa i, przepraszam bardzo, niewiele się nauczyłem... Ganges, to jest rzeka w Indiach, która płynie... rzeka ta płynie do oceanu.

– Ja pana o to nie pytam. Jakie dopływy ma Ganges? Nie wie pan? A gdzie przepływa Araks? I tego pan nie wie? W jakiej guberni znajduje się Żytomierz?

Trakt osiemnasty, miejsce sto dwudzieste pierwsze.

Na czoło Fendrikowa wystąpił zimny pot. Fendrikow zamrugał powiekami i grdyka jego tak się poruszyła, że się wydawało, że przełknął własny język.

– Mówię jak na spowiedzi, wielmożny panie – zaczął bełkotać. – Nawet ojciec protojerej⁶ może poświadczyć... Przepracowałem dwadzieścia jeden lat i teraz tak jakoś... Całe swe życie będę prosił Boga...

– Dobrze, dajmy spokój z geografią. Co pan przygotował z matematyki?

– I matematykę nie bardzo... Nawet ojciec protojerej może poświadczyć... Całe swe życie będę prosił Boga... Z podręcznika samego Pokrowa kułem i kułem; ale jakoś do głowy nie szło... Za stary jestem do tych nauk... Niech pan będzie tak łaskaw, wielmożny panie, proszę mi kazać przez całe swe życie prosić Boga...

Na rzęsach Fendrikowa zawisły łzy.

– Pracowałem uczciwie, nieskazitelnie. Spowiadam się co roku... Nawet ojciec protojerej może poświadczyć... Niech pan będzie wspaniałomyślny, wielmożny panie.

⁶ protojerej – prawosławny wyższy duchowny.

– Nic pan nie przygotował?

– Wszystko przygotowałem, ale nic nie pamiętam... Wkrótce stuknie mi sześćdziesiątka, wielmożny panie, gdzie mi tam do nauki? Niech pan będzie łaskaw!

– On już nawet czapkę z bączkiem obstał sobie... – powiedział protojerej Zmijezałow i uśmiechnął się.

– Dobrze, może pan wyjść! – powiedział inspektor.

Po upływie pół godziny Fendrikow triumfalnie szedł w towarzystwie nauczycieli do traktierni ⁷ Kuchtina na herbatę. Twarz jego promieniała, oczy płonęły, ale co chwila drapał się za uchem, widać nękała go jakaś myśl.

– Jaka szkoda! – mruczał. – Co za głupota z mej strony!

– O co chodzi? – spytał Piwomiodow.

– Po co ja się uczyłem stereometrii, jeśli nie ma jej w programie? Cały miesiąc nad nią, podłą, siedziałem. Jaka szkoda!

1884

⁷ traktiernia – jadłodajnia.

KAMELEON

Przez targowy plac kroczy rewirowy Oczumielów w nowym płaszczu z zawiniątkiem w rękę. Tuż za nim idzie rudy stójkowy z sitem pełnym skonfiskowanego agrestu. Cisza dokoła... Na placu nie ma żywego ducha... Otwarte drzwi sklepów i szynków patrzą smętnie na świat boży, jak głodne paszczęki, nie widać koło nich nawet żebraków.

– Będiesz mi tu gryzł, przekłety! – słyszy nagle Oczumielów. – Chłopcy, trzymać go! Teraz nie wolno gryźć! Łap! A... a!

Rozlega się psi skowyt. Oczumielów ogląda się i widzi: ze składu drzewa kupca Piczugina wybiega pies skacząc na trzech łapach i ogląda się trwożnie. Za nim pędzi mężczyzna w perkalowej, nakrochmalonej koszuli i w rozpiętej kamizelce. Pochylony ku przodowi, biegnie za psem i nagle pada na ziemię, chwytając go za tylne łapy. Znowu rozlega się psi skowyt i krzyk: „Trzymaj!” Ze sklepów wychylają się senne twarze i niebawem koło składu jak spod ziemi wyrasta tłum.

– Ani chybi, jakieś zakłócenie porządku, wielmożny panie...! – mówi stójkowy.

Oczumielów robi pół obrotu w lewo i kieruje się w stronę zgromadzonych ludzi. Widzi: przy samych drzwiach składu stoi opisany wyżej mężczyzna w rozpiętej kamizelce i podnosząc do góry prawą rękę pokazuje zebranym okrwawiony palec. Z jego pijackiej twarzy można wyczytać: „Już ja ci zadam bólu, szelmo!” Palec zaś wygląda jak sztandar zwycięski. W mężczyźnie tym Oczumielów poznaje złotnika Chriukina. W środku tłumu, roztawiając przednie łapy i drżąc na całym ciele, siedzi na ziemi sprawca skandalu – młody szczeniak, biały chart z ostrą mordką i żółtą plamą na grzbiecie. W jego łzawiących się oczach widać przygnębienie i strach.

– Co się tu stało? – pyta Oczumielów przeciskając się przez tłum. – Czegoście się tu zebrali? A tobie co znowu z tym palcem...? Kto tu krzyczał?

– Idę sobie, wasza wielmożność, nikomu w drogę nie wchodzę... – zaczyna Chriukin kaszląc w garść. – Idę z Mirijem Mitryczem względem drzewa i nagle ten podlec ni z tego ni z owego chwyta mnie za palec. ...Przepraszam wielmożnego pana, jestem człowiek pracujący... Mam delikatną robotę. Niech mi zapłacą, gdyż tym palcem może nawet z tydzień nie będę mógł ruszać... Tego nawet w ustawach nie ma, wasza wielmożność, żeby przez takie bydlę człowiek musiał cierpieć... Gdyby wszyscy zaczęli gryźć, to już lepiej nie żyć na tym świecie...

– Hm!... Dobrze... – mówi Oczumielów, surowo ruszając brwiami i pochrzäkując. – Dobrze... Czyj to pies? Ja tego płazem nie puszcze! Ja wam pokażę, żeby tak psy rozpuszczać! Czas zwrócić uwagę na tych panów, którzy nie chcą podporządkować się przepisom! Gdy mu wlepię karę, draniowi, to będzie dobrze wiedział, co to jest pies czy inne beznamiętne bydlę! Już ja mu pokażę, gdzie raki zimują...! Jeldrin – zwrócił się przodownik do stójkowego – dowiedz się, czyj to pies i spisz protokół. A tego psa trzeba sprzątnąć. Natychmiast! Na pewno jest wściekły. Czyj to pies, pytam?

– To zdaje się generała Żygałowa! – mówi ktoś z tłumu.

– Generała Żygałowa?. Hm!... Zdejmij no, Jeldrin, ze mnie płaszcz. Strach, jak gorąco!

Chyba będzie deszcz... Jednego tylko nie rozumiem, jak on mógł ciebie ugryźć? – Oczumielów zwraca się do Chriukina. – Czyż on może sięgnąć ci do palca? Toć on malutki, a z ciebie taki dryblas! Ty pewnie rozharatałeś palec ó jakiś gwóźdź, a potem przyszło ci do głowy, że może uda się na tym zarobić. Ty przecież... wiadomo, co z was za ludzie! Znam was, wy diabły!

– On, wasza wielmożność, dla kawału, papieros mu w mordę pchał, a ten, nie w ciemię bity, cap go za palec... Głupi człowiek, wasza wielmożność!

– Łzesz, ty kulasie! Nie widziałeś, więc po co kłamiesz? Ich wielmożność mają swój rozum i poznają, kto łże, a kto wedle sumienia, jak przed Bogiem... A jeżeli ja kłamię, to niechaj sędzia pokoju rozsądza. On wie, co w prawie stoi napisane... Teraz są wszyscy równi... Sam mam brata w żandarmerii... jeżeli chcecie wiedzieć...

– Nie mądrzyć mi się tu!

– Nie, to nie pana generała... – mówi po namyśle stójkowy. – Generał nie ma takich. On przeważnie ma wyżły...

– A wiesz to na pewno?

– Na pewno, wasza wielmożność...

– Sam wiem. Generał ma psy drogie, rasowe, a ten, diabli wiedzą, co to jest! Ani maści, ani wyglądu... paskudztwo jakieś... I takiego psa trzymać?! Gdzie wy macie rozum? Niechby się trafił taki pies w Petersburgu albo w Moskwie, to wiecie, co by się stało? Tam nie patrzyliby na przepisy, tylko od razu – w łeb! Ty, Chriukin, zostałeś poszkodowany i tej sprawy tak nie puszczaj... Trzeba ich nauczyć! Najwyższy czas...

– A może i generalski?... – rozmyśla głośno stójkowy. – Na jego pysku nie jest napisane... Niedawno widziałem u niego na podwórzu takiego samego.

– Wiadomo, że generalski! – rozległ się głos w tłumie.

– Hm...! Jeldrin, pomóż no mi, bracie, włożyć płaszcz... Wiatr jakoś powiał... Ziębi mnie... Odprowadzisz go do generała i tam się zapytasz. Powiesz, że znalazłem go i przysyłam... I powiesz, żeby go nie wypuszczali na ulicę... Może to drogi pies, a jeżeli każda świnią będzie mu w nos pchała papierosa, to psina prędko się zmarnuje. Pies jest zwierzęciem delikatnym... A ty, bałwanie, spuść łapę! Nie masz po co wystawiać swego głupiego palucha! Sam jesteś sobie winien...!

– Idzie właśnie kucharz generała, zapytajmy go... Hej, Prochor! Chodź no tutaj, mój drogi! Spójrz na tego psa... Czy to wasz?

– Też wymyślił! Nigdy u nas takich nie było!

– Nie warto nawet pytać – mówi Oczumielów. – To pies bezdomny! Co tu dużo gadać... Jeżeli powiedziałem, że bezpański, to znaczy, że bezpański... Zabić i tyle.

– To nie nasz – mówi dalej Prochor – to pies brata naszego generała, który przyjechał wczoraj. Nasz nie lubi chartów. Jego brat, to ich amator...

– Ach, to brat generała przyjechał? Włodzimierz Iwanycz? – pyta Oczumielów i twarz jego rozjaśnia przymilny uśmiech. – Patrzcie państwo! A ja nic o tym nie wiedziałem! W odwiedziny przyjechał?

– W odwiedziny...

– Ach, mój Boże... Stęsknił się za bratem... A ja nic nie wiedziałem! Więc to jego piesek? Bardzo mi miło... Zabierz go... Piesek niebrzydki... Taki sprytny... Cap tego za palec! Cha – cha – cha!... No, czego drzysz? Wrrr... wr... Zły, szelma!... Ach, co za psina...

Prochor woła psa i odchodzi z nim od składu drzewa. Tłum śmieje się z Chriukina.

– Ty się jeszcze dostaniesz w moje ręce! – odgraża się Oczumielów i, owijając się w płaszcz, rusza w dalszą drogę po rynku.

CHIRURGIA

Szpital ziemski. W czasie nieobecności lekarza, który wyjechał na własny ślub, chorych przyjmuje felczer Kuriatin – otyły, czterdziestoletni mężczyzna, w zniszczonej chesucucowej marynarce i wytartych sukiennych spodniach. Twarz jego wyraża zadowolenie i poczucie spełnionego obowiązku. Między wskazującym a środkowym palcem lewej ręki tkwi wstrętne woniejące cygaro.

Do pokoju przyjąć wchodzi zakrystian Wośmigłasow – wysoki, barczysty starzec w brunatnej sutannie, z szerokim skórzanym pasem.

Jego prawe oko jest pokryte bielmem i do połowy przesłonięte powieką, na nosie ma brodawkę, podobną z daleka do dużej muchy. Zakrystian przez chwilę szuka wzrokiem ikony, a nie znajdując jej, robi znak krzyża, kłaniając się w stronę butli z roztworem karbolowym, następnie wyjmując z czerwonej chustki do nosa prosforę⁸ i z ukłonem kładzie ją przed felczerem.

– A—a—a... moje uszanowanie – ziewa felczer. – Co pana tu sprowadza?

– Przy świętej niedzieli najlepsze życzenia, Sergiuszu Kuźmiczu. Ja do wielmożnego pana... Za pozwoleniem, szczerą prawdę napisano w psalterzu: „A napój mój łzami rozcieńczę”. Usiadłem wczoraj z moją starą do herbaty i – mój Boże – ani rusz, żeby choć kropelkę, a tu ani tyciej odrobinki, wprost kładź się, człowieku, i umieraj. Łyknę troszeczkę – i więcej nie mogę! A do tego jeszcze ząb, cała ta strona... Rwie i rwie! W uchu świdruje, przepraszam za wyrażenie, jakby w nim był gwóźdź lub jakiś inny przedmiot; świdruje i świdruje! Grzeszny jestem i pełen winy... grzechy ciążą na mej duszy i w lenistwie żywot swój pędzę... Wszystko to za grzechy, Sergiuszu Kuźmiczu, za grzechy! Ojciec jerej⁹ karci mnie po mszy: „Język ci się płacze, Jefimie, i śpiewasz jak piękny garniec. Śpiewasz, a nic nikt nie rozumie”. Ale jaki, niech pan sam pomyśli; może być śpiew, jeżeli gęby nie można otworzyć, wszystko napuchło, przepraszam za wyrażenie, całą noc nie spałem.

– No, tak... Proszę siadać... Proszę otworzyć usta!

Wośmigłasow siada i otwiera usta.

Kuriatin nasepił się. Patrzy w otwarte usta i wśród pośliskłych ze starości i od tytoniu zębów dostrzega jeden, ozdobiony przepaścistą dziuplą.

– Ojciec diakon kazali mi przykładąć wódkę z chrzanem – nic nie pomogło. Glikierija Anisimowna, daj jej Boże zdrowie, znowu dała mi nitkę z klasztoru na górze Atos, żebyś nosił na ręce, i kazała ciepłym mlekiem zęby płukać, a ja, prawdę mówiąc, nitkę nałożyłem, ale co do mleka, to się nie zastosowałem; Boga się boję, przecież to post...

– Przesąd... (pauza). A ząb trzeba wyrwać, Jefimie Micheiczu!

– Pan wie lepiej, co trzeba, Sergiuszu Kuźmiczu. Na to jest pan uczony, żeby wiedzieć, co trzeba; czy wyrwać, czy kropelkami lub czymś innym... Po to wy, dobrodzieje nasi, tu jesteście, daj wam Boże zdrowie, żebyśmy mieli za co modlić się na waszą intencję dzień i

⁸ prosfora – prawosławna hostia.

⁹ jerej – prawosławny duchowny.

noc, ojcaszkowie rodzeni... do grobowej deski...

– Drobnostka – felczer udając skromnego, podchodzi do szafy i grzebie wśród narzędzi. – Chirurgia – to bagatelka... Najważniejsze jest przyzwyczajenie, pewna ręka... Tyle co splunąć i po wszystkim. Niedawno, tak samo jak pan, przyjechał do szpitala obywatel ziemski Aleksander Iwanycz Egipski. Też z zębem... Człowiek wykształcony, o wszystko się pyta, na wszystkim się zna, co i jak. Rękę podaje, panem tytułuje... W Petersburgu mieszkał siedem lat, wszystkich profesorów poznał na wylot. Długośmy z nim tutaj... na wszystkie świętości zaklinał; wyrwij mi go pan, Sergiuszu Kuźmiczu! A dlaczego by nie wyrwać? Tylko że tu trzeba rozumieć, co i jak, bez zrozumienia ani rusz. Zęby bywają różne. Jeden rwie się kleszczami, drugi – kozią nóżką, trzeci kluczem¹⁰ ... Zależy jak komu...

Felczer wyjmując kozią nóżkę, przez chwilę patrzy na nią z wahaniem, potem odkłada ją i bierze kleszcze.

– No, tak, proszę szeroko otworzyć usta – powiedział podchodząc do zakrystiana z kleszczami. – Zaraz my go tu, jego... tyle, co splunąć, i będzie po wszystkim. Tylko dziąsło naciąć... i dokonać trakcji wzdłuż osi pionowej... i już (nacina dziąsło)... i już.

– Dobroczyńcy wy nasi... Skąd my, głupcy, mamy wiedzieć, ale was to Pan Bóg oświecił.

– Proszę nie rozmawiać z otwartymi ustami. Ten, ząb łatwo się da wyrwać, ale bywa tak, że tylko same pnie... Ten tyle, co splunąć, i będzie po wszystkim (zakłada kleszcze). Chwileczkę proszę się nie ruszać... Proszę siedzieć spokojnie... Jedno mgnienie oka... (ciągnie). Najważniejsze, żeby chwycić jak najgłębiej... (ciągnie). Żeby koronka się nie złamała.

– Ojcowie nasi... O, Matko Najświętsza!... Wwww...

– Nie tego... nie tego... jak go tam? Proszę nie chwytać mnie za ręce! Proszę wziąć ręce! (ciągnie). Zaraz... już, już... Przecież to nie łatwa sprawa.

– Ojcowie... rodzeni... (krzyczy). – Anieli święci! Oho, ho... Ależ rwij już, rwijże! No, co pięć lat ciągniesz !

– To przecież... chirurgia... Tak od razu nie można... Już, już.

Wośmigłasow podnosi kolana do łokci, przebiera skurczonymi palcami, wybałusza oczy, oddycha nierówno. Na jego pasowej twarzy występuje pot, oczy są pełne łez. Kuriatin, sapiąc i drepcząc na jednym miejscu przed zakrystianem, ciągnie... Mija męczące pół minuty – i kleszcze zeskakują z zęba. Zakrystian zrywa się z miejsca i wkłada paluchy do ust. W ustach znalazł ząb na dawnym miejscu.

– Wyrwał!... – mówi płaczliwie i jednocześnie dodaje kpiącym tonem. – Żeby cię tak na tamtym świecie ciągnęli! Dziękuję uniżenie! Jeśli nie umiesz rwać, to się nie bierz! Świata bożego nie widzę...!

– To po co za ręce chwytasz? – mówi rozzłoszczony felczer. – Ja tu ciągnę, a on mnie za rękę i jeszcze gada różne głupie słowa. Dureń!

– Sam jesteś dureń!

– Myślisz, chłopie, że to tak łatwo ząb wyrwać? Spróbuj tylko, to nie jest to, co wleźć na dzwonnice i w dzwony bębnić! (przedrzeźnia): „Nie potrafisz, nie potrafisz!” Patrzcie go, nauczyciel się znalazł! Widzicie go...! Panu Egipskiemu Aleksandrowi Iwanyczowi rwałem i nic, żeby choć jedno słowo... Pan trochę większy od ciebie, a za ręce nie chwytał. Siadaj! Siadaj, powiadam ci!

– Świata nie widzę... Pozwól odetchnąć... Och! (siada). – Tylko nie ciągnij długo, a rwij. Nie ciągnij, tylko rwij... Od razu!

—Będziesz mi tu uczył uczonego! Chryste Panie, cóż to za ludzie nie oświeceni! Żyj tu z takimi... do cna skapcaniejesz! Otwórz gębę... (zakłada kleszcze). Chirurgia, bracie, to nie żarty... to nie to, co modlitwy dukać nam na chórze... (ciągnie). Nie szarp się... Ząb widać

¹⁰ kleszcze, kozia nóżka i klucz – stomatologiczne instrumenty do wrywania zębów.

zastarzały głęboko zapuścił korzenie... (ciągnie). Nie kręć się! Tak... tak... Nie ruszaj się... No... no... (słysząc chrzęst). Wiedziałem, że tak będzie!

Wośmigłasow siedział przez chwilę bez ruchu, jak omdlały. Był oszołomiony, oczy jego tępo patrzyły w przestrzeń, na bladym obliczu błyszczał pot...

– Trzeba mi było wziąć kozia nóżkę... – mruczał felczer. – To ci zdarzenie!

Zakrystian powoli przychodził do siebie. Włożył palce do ust i w miejscu, gdzie był chory ząb, znalazł dwie sterczące zadry.

– Diabeł parrrszywy... – wykrztusił. – Nasłali tu was, Judaszów, na naszą zgubę!

– Jeszcze mi tu będziesz wymyślać – warknął felczer odkładając kleszcze do szafy. – Nieuk. Za mało ci w bursie różeg brzożowych wsypali. Pan Egipski Aleksander Iwanycz siedem lat mieszkał w Petersburgu wykształcenie... Sam garnitur, co jest na nim, kosztuje sto rubli... a też nie wymyślał... A ty co. Taka ważna osobistość? Nic ci nie będzie, nie zdechniesz.

Zakrystian zabiera ze stołu swą proskurę i, przeciskając ręką policzek, udaje się do domu.

1884

MIĘTUS

Letni poranek. W powietrzu cisza; tylko na brzegu słychać cykanie polnego konika, gdzieś nieśmiało grucha synogarlica. Na niebie nieruchomo stoją pierzaste obłoki, podobne do rozsypanego śniegu. Obok budującej się pływalni, pod zielonymi gałęziami wierzby, pluszcze się w wodzie cieśla Gerasym – wysoki, chudy chłop, z rudą, kędzierzawą czupryną i zarośniętą twarzą. Stęka, nadyma się i mocno mrugając oczyma stara się wydobyć coś spod korzeni wierzby. Twarz jego zalana jest potem. W odległości sążnia ¹¹ od Gerasyma po szyję w wodzie stoi cieśla Lubim, młody, garbaty chłop o trójkątnej twarzy i wąskich mongolskich oczach. Zarówno Gerasym jak i Lubim są w koszulach i spodniach. Obaj aż posinieli z zimna, gdyż stoją w wodzie przeszło godzinę...

– I po co ty cały czas wtykasz rękę? – krzyczy garbaty Lubim drżąc jak w febrze.– Ty, głowo kapuściana! Trzymaj go, bo ten piekielnik gotów uciec! Trzymaj, mówię!

– Nie ucieknie. Jak ma uciec? Pod korzeń się wcisnął... – odpowiada Gerasym ochrypniętym, dudniącym basem, wydobywającym się nie z krtani, lecz z brzucha. – Śliski, diabeł, nie ma go za co chwycić.

– Ty go za skrzela łap, za skrzela!

– Nie mogę znaleźć skrzeli. Czekaj, chwyciłem za coś...za pysk chwyciłem... Gryzie, diabeł!

– Nie ciągnij za pysk, nie ciągnij, jeszcze wypuścisz! Za skrzela go łap, za skrzela! Znowu zaczynasz rękę wtykać! Jakież to nierozgarnięte chłopisko, ratuj, Królowo Niebieska! Łapże!

– „Łap” – przedrzeźnia Gerasym. – Znalazł się dyrygent. To przyjdź tu i sam łap, diable garbaty... Czego stoisz?

– Chwyciłbym, gdyby było można. Ale czyż przy, moim małym wzroście mogę stać koło brzegu? Tam przecież głęboko!

– To nic, że głęboko. Możesz pływać. Garbus, wymachując rękami, podpływa do Gerasyma i chwyta za gałęzie, ale przy pierwszej próbie utrzymania się na nogach pogrąża się z głową wypuszczając bańki powietrza.

– Mówiłem, że głęboko! – mówi i ze złością przewraca białkami oczu. – Na kark ci wsiadę, czy jak?

– Na korzeniu stań. Korzeni tu moc, prawdziwa drabina.

Garbus wyszukuje stopą korzeń i uchwyciwszy się na raz kilku gałęzi staje na nim. Złapawszy równowagę i umocniwszy się na nowej pozycji, pochyla się, stara się nie nabrać do ust wody i prawą ręką zaczyna myszkować między korzeniami. Zaczepiając o rośliny wodne i osuwając się po oślizgłych korzeniach natyka się ręką na kłujące kleszcze raka.

– Tylko ciebie tu brakowało, diable! – mówi Lubim i ze złością wyrzuca raka na brzeg.

Wreszcie jego ręka natrafia na rękę Gerasyma i, posuwając się po niej, dotyka czegoś śliskiego i chłodnego.

– Jesteś, bratku! – uśmiecha się Lubim. – Olbrzymi diabeł... Weź no w palce, a ja go zaraz

¹¹ sążeń – miara długości równa 216 cm.